

OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY

**Wywiad ze Zbigniewem CHARYTONIUKIEM
przeprowadzony przez Jacka Galewskiego
w Białymstoku, dn. 1 sierpnia 2008 roku**

Nazywam się Jacek Galewski, jestem ankieterem Fundacji KOS. Celem naszej rozmowy będzie udokumentowanie pańskiej pamięci o okresie stanu wojennego. Chciałbym też zapytać o inne wydarzenia z pańskiej przeszłości, które w Pana ocenie mogły mieć znaczenie dla pańskiego życia w tamtym czasie.

Jacek Galewski: Kim byli pańscy rodzice?

Zbigniew Charytoniuk: Rolnicy. Dziadkowie, pradiadkowie i tak dalej, cały czas.

W którym roku urodzeni?

W dwudziestym dziewiątym.

Urodził się Pan w Bielsku Podlaskim?

Nie. Bielsk Podlaski to z tej racji, że tam była klinika, nazwijmy to, położnicza. Znacząca izba porodowa, tak? Moja wieś rodzinna, to są Andryjanki, a gniazdo rodzinne to sąsiednia wieś Hornowszczyzna. Zostałem przywieziony na tą izbę porodową tylko przypadek. Z Bielskiem nic nie mam wspólnego, nawet nie wiem, jaki tam jest rozkład ulic. [śmieje się]

Ile Pan ma rodzeństwa?

Brata i siostrę. Młodszy brat i młodsza siostra.

Czy pańscy rodzice, jako rolnicy, się jakoś angażowali w jakąkolwiek działalność opozycyjną po wojnie?

Nie, nie. Natomiast rodzeństwo mojego taty, bo tato jest jednym z dziewięciorga dzieci, starsi bracia mojego taty, starsze siostry, ale to już od czasów roku czterdziestego czwartego i piętego byli w konspiracji, już po czterdziestym czwartym, przeciwko, ogólnie mówiąc, Sowiетom. No i potem w tych różnych jakichś tam okresach, gdzie się wydawało, że jakaś odwilż, to oni też coś tam próbowali kombinować.

Pańscy rodzice oboje byli wyznania rzymskiego?

Tak, tak, oczywiście.

Czyli rozumiem, że, co za tym idzie, stosunek do przynależności do Partii, czy do jakiegokolwiek partii satelitarnej był określony w pańskiej rodzinie?

Był określony, mimo że mój ojciec należał do Partii... Mój ojciec skończył służbę wojskową w pięćdziesiątym czwartym i był w Partii od pięćdziesiątego szóstego do

pięćdziesiątego ósmego. Był dwa lata w Partii z przyczyn (wiele razy na ten temat rozmawialiśmy) nie jakichś... Nieokreślonych. Nie wiem, dlaczego. Czy dlatego, bo... Ja, patrząc na daty, to mógłbym podejrzewać, że pięćdziesiąty szósty mógł zrodzić jakieś nadzieje. Że nawet do Partii można było wstąpić po pięćdziesiątym szóstym, prawda? Ale on tak wcale nie uważał. Z jakichś tam względów, nie wiem, jakich, może jakiś interes miał na myśli. Nie mam pojęcia. Dwa lata był w partii. Pytałem wprost: „dlaczego?”. I nigdy nie było jakiejś takiej odpowiedzi, takiej sensownie brzmiącej, gdzie byłaby podana przyczyna jakaś konkretna. No, bo... Przy takiej odpowiedzi musi być podana jakaś przyczyna. Tak ogólnie jakoś mnie zbywał, że był i że to niespecjalnie go raduje, nawet po latach.

A dlaczego wystąpił w takim razie?

Właśnie. Z tym wystąpieniem to jest taka sprawa, że nie został wyrzucony, to na sto procent, tylko wystąpił. Ja przypuszczam, że to jest związane z tym, że to mogło być strasznie źle odebrane w rodzinie. Przez stryjów moich, którzy byli w konspiracji tej po czterdziestym czwartym i siedzieli. Przecież najstarszy stryj wyszedł w pięćdziesiątym szóstym. Od czterdziestego dziewiątego siedział, czyli siedem lat. Wyszedł z całkowicie zrujnowanym zdrowiem. Więc ja myślę, że ten eksperyment mojego taty, polegający na zapisaniu się do Partii, to musiał być jednak tak przyjęty... Chociaż tego nikt mi nigdy nie mówił tak wprost, ale myślę, że to było zdecydowanie źle przyjęte, że tata został po prostu poddany pewnie takiemu ostracyzmowi rodzinnemu. I to może być to, dlatego on tak nie chce o tym mówić.

Gdzie Pan chodził do szkoły?

W swojej rodzinnej wsi, właśnie w Andryjankach do szkoły podstawowej, tej ośmioklasowej wówczas jeszcze. Potem byłem w liceum w Siemiatyczach. Potem miałem taką przygodę ze studiami wyższymi... Mam, jak by nie było trzy i pół lata studiów za sobą. Wydział chemii na uniwersytecie. Studiów nie skończyłem z powodów, no, nazwijmy to rodzinnych, bo się na studiach pobraliśmy z moją żoneczką. Pojawiło się dziecko, rodzice byli raczej przeciwni mojemu temu pójściu na studia. Nie finansowali tego. Ja pracowałem w spółdzielni studenckiej, ale potem to już nie dało się po prostu kontynuować z powodów... No, ekonomicznych.

Dlaczego rodzice byli przeciwni? Bo chciał Pan wyjechać?

No, oczywiście. Najstarszy syn... U nas tak się uważa, że powinien zostać na gospodarce. [śmieje się] Jeszcze dzisiaj się uważa tak, mimo, że to już czasy wielokrotnie przemieniły mentalność, nie?

No, ale przecież nie został Pan.

Nie, nie. Tutaj byłem na studiach w Białymstoku i tutaj pracowałem w spółdzielni studenckiej. A wtedy zrobiono taki eksperyment, że utworzono zakład remontowo-budowlany w spółdzielni studenckiej. Nas poddano jakiemuś tam przeszkoleniu trzymiesięcznemu, i dostawaliśmy zlecenia takie typowo remontowe. Pamiętam, że to było, no, doskonale płatne. Ale tych zleceń było tyle, co kot napłakał. Gdy się zdecydowałem, że nie ma wyboru, muszę iść do pracy, rzucać studia, to od razu pierwsze kroki skierowałem do firmy, która się tym trudniła. Czyli spółdzielni mieszkaniowej. W spółdzielniach mieszkaniowych były właśnie takie zakłady remontowe i tam przyszedłem. Oczywiście [zostałem] z miejsca przyjęty, bo ludzi wtedy było absolutnie brak do pracy. Tam sobie zakłady nawzajem wydierały i podbijały w jakiś sposób. I tak zostało. Do momentu, gdy te zakłady rozwiązano, w osiemdziesiątym siódmym roku chyba. No i gdy znalazłem się na bruku, to zarejestrowałem działalność.

A w osiemdziesiątym roku gdzie Pan pracował?

Właśnie w tej spółdzielni mieszkaniowej. W tej naszej, w której mieszkamy, to się nazywa „Zachęta”. No i w osiemdziesiątym roku tam właśnie zakładałem „Solidarność” w naszej spółdzielni. [śmieje się]

Jak odbywało się takie zakładanie „Solidarności” w spółdzielni mieszkaniowej?

No, u nas to jest specyfika troszeczkę inna, tak jak pan wie. Prawosławnych pięćdziesiąt procent... I było ciężko, dlatego, że wielu ludzi... Reguła była taka: prawosławni nie. Mimo, że to byli nasi kumple, doskonale się tam nam współpracowało, ale oni do „Solidarności” nie. Czyli ten taki werbunek, to był tylko pośród katolików. No i ci masowo wstępowali. Gdy już zarejestrowaliśmy się tutaj w MKZ-ecie, to ci masowo wstąpili. Chyba sto procent katolików wstąpiło. A tamci nieliczni, jakieś jednostki dosłownie. I był taki... Powstał od razu taki jak gdyby podział na jednych i drugich w zakładzie.

Ale użył Pan eufemizmu: „była taka reguła”. Tak nieliczni, bo byli niemile widziani, czy...?

Nie. Nie chcieli. Uważali u nas to jest związane może też z tym, że jeżeli cokolwiek się dzieje, coś nawet politycznego, tutaj, w Białymstoku, na Białostoczczyźnie, to nasz Kościół zabiera głos w taki sposób niesamowicie przytłumiony, natomiast duchowieństwo prawosławne instruuje swoich wiernych. Czyli jeżeli jest głosowanie, to normalnie, na kogo, z imieniem i nazwiskiem nawet. Podają to na wszystkich mszach tekstem otwartym, nie jakimś tam, że trzeba wyławiać. U nas, jeżeli jakiś kapłan coś wspomni, to jest... Tak między wierszami trzeba wyłapywać, prawda? Bo jakoś tak nie wiem, dlaczego się boją. Czy może są jakieś takie zasady, żeby... Żeby nie mówić tekstem otwartym. A oni to... Ta powstająca „Solidarność” została przez duchowieństwo prawosławne oceniona wrogo. Więc stąd przypuszczam była taka rezerwa... Wszystkich ze strony prawosławnej, żeby... Jeżeli nawet nie wrogo traktować, to z rezerwą i przeczekać. „Zobaczymy, co z tego powstanie”. Na tej zasadzie to chyba było.

A skąd u Pana pomysł na to, by zakładać „Solidarność” w spółdzielni mieszkaniowej?

Znaczący, to nie był [mój] pomysł. We wszystkich zakładach były tworzone koła „Solidarności”. Ja nie znam w Białymstoku najmniejszej jakiegóż firmy, gdzie by coś takiego nie powstało. To po prostu było takie, no, naturalne. Z tym, że to nie było w tym momencie, gdy Wybrzeże stało, tylko w momencie, kiedy już było można oficjalnie zakładać, po rejestracji krajowej.

Co Pan robił w komisji zakładowej?

Była nas czwórka, nazwijmy to, członków-założycieli. [śmieje się] [To] jednocześnie była komisja zakładowa siłą rzeczy. Szczerze mówiąc, tak teraz patrzę się na tamtą działalność, to można powiedzieć, że myśmy nic nie robili. Jeśli chodzi o sprawy związkowe... Jedno trzeba powiedzieć: nie traktowaliśmy „Solidarności” jako związku zawodowego. Traktowaliśmy to jako coś innego, no, ruch społeczny, bardziej polityczny może niż społeczny, coś takiego. Nie wiem, górnolotnych użyję określeń, [coś], co by nas przybliżyło do wyrwania się z tej dominacji sowieckiej. Tak żeśmy to odbierali. Ta działalność związkowa była dublowaniem działalności związku, który istniał. Nawet nie wiem, jak się nazywał, podległy CRZZ-owi. Jeśli były jakieś tam akcje, nie wiem, zakupy, zaopatrzenie jesienne w jakieś warzywa, to myśmy dokładnie to robili, tylko, że oni [to] robili dla swoich, a my to robiliśmy dla swoich. Ale nie było żadnych jakichś

takich inicjatyw, które byłyby zupełnie odmienne od pozostałych. Ale to na niewielką skalę to się wszystko odbywało. Natomiast, jeżeli trzeba było ludzi gdzieś do demonstracji albo do jakiejś pikiety, albo do jakichś takich spraw, to bardziej nas to rajcowało.

Jak liczny to był zakład?

A, żaden. Stu osiemdziesięciu ludzi. Nasza ta komórka liczyła może z osiemdziesięciu. Powiedziałem, że wszyscy od nas wstąpili do „Solidarności”: ci, którzy pracowali gdzieś tam w biurze, w kadrach, to też z rezerwą. No, bo dyrekcja, prezes spółdzielni...

Oni z rezerwą, czy wy do nich z rezerwą?

Nie, nie, oni... Ponieważ dyrekcja i prezes byli zdecydowanie przeciw, więc ci pracownicy, którzy pracowali w biurze, w kadrach, prawda? Ponieważ to było niemile widziane przez dyrekcję. Chociaż oni, z tego, co wiem już po latach, byli bardzo za, ale obawiali się może jakichś szykan. To trudno powiedzieć. Nam, którzyśmy pracowali w zakładzie, nazwijmy to fizycznie, nikt nie mógł podskoczyć.

Mieliście poczucie, że jesteście niezastępowalni?

Tak jest. I przez to nawet bezkarni. Sytuacja, przynajmniej tutaj, w Białymstoku, na rynku, w tej branży budowlanej, była taka, że zakłady sobie wzajemnie podkupywały pracowników. Nikomu by nie przyszło do głowy zwolnić pracownika z powodów politycznych, czy jakichś innych, jeżeli on obowiązki zawodowe wykonywał dobrze. Nikomu by do głowy nie przyszło, żeby można było szykanować. O tym się słyszało gdzieś tam w Polsce, że takie bywają przypadki, ale nie w Białymstoku i nie w naszej branży. To właśnie mówię o pracownikach biurowych, oni czuli się zagrożeni. Nie byli pewni swego losu, dlatego woleli nie wstępować do „Solidarności” i zobaczyć, co z tego się wykluje.

A kim byli ci pozostali trzej ojcowie założyciele?

Tacy jak ja. Ja wtedy pracowałem tam na stanowisku malarza, bo te stanowiska były nazywane i szeregowane, według tabeli. I dwaj jeszcze koledzy moi to byli malarze, a jeden murarz. Też z zakładu, tylko, że to była inna komórka, oni się zajmowali wznoszeniem budynków, a my tylko remontami.

Znaliście się z zakładu?

Tak, tylko z zakładu. Zresztą to trudno powiedzieć „znaliśmy się”. Ja przyszedłem na wakacje osiemdziesiątego roku do pracy, byłem nowy zupełnie, a tamci już mieli swoje lata pracy. Oni byli starsi ode mnie, niewiele, może trzy, cztery, pięć lat. Ten sam przedział wiekowy, tylko, że oni mieli stażu pracy dużo więcej z tej racji, że ja miałem te lata na studiach, a oni już pracowali.

Ale skąd u Pana ten pomysł, żeby robić „Solidarność”?

Zabrzmi to pewnie jak jakieś samochwalstwo, ale uważałem, że... No, że ja powinienem to zrobić. Tamci moi kumple wszyscy byli po szkołach zawodowych. A ja przecież przyszedłem z wielkiego świata, nie?

Czuł Pan się jak inteligent idący oświecać lud?

Dokładnie, dokładnie. Więc jeżeli ktoś miał to zainicjować, to mi się wydawało naturalne, że ja. W tym momencie, gdy to robiłem, to jeszcze nie, ale potem to też i

koledzy tak uważali. Jeśli [była konieczna] jakaś interwencja, to [mówili:] „ty idź, bo jesteś wygadany”. [śmieje się] Na tej zasadzie.

A kiedy zetknął się Pan pierwszy raz z bibułą?

Jeszcze na studiach. Ale to były jakieś straszne wycpociny, przypuszczam, że sygnowane przez NOW-ą. I jakieś papiery z... Tak potocznie nazywano latające uniwersytety. Ale z Warszawy to wszystko tutaj docierało w sposób niesamowicie... Taki cieniutki strumyczek, ledwie widoczny w Białymstoku. Gdzieś tam ktoś przywoził z Warszawy, też z uniwerku, bo ten białostocki uniwersytet to była filia warszawskiego wtedy. I tam gdzieś... Coś tam się czytało. Wiem tylko, że to było nieciekawe. Wtedy to wydawało się jakieś takie oderwane zupełnie od rzeczywistości, od życia. Jakieś tam wydumane. Ta literatura, to nie było coś historycznego, to nie było coś naukowego, tylko to było z pogranicza prozy, jak dobrze pamiętam.

Czy Pan miał świadomość, gdy z tymi trzema kolegami tworzyliście komisję zakładową, że to się może skończyć represjami?

Miałem tą świadomość, że wszystkie próby naruszenia, jakby to powiedzieć, doktryny socjalistycznej, zawsze kończyły się źle, w historii. I miałem tą świadomość, że ta także najprawdopodobniej tak się skończy, ale jest jakaś szansa, że może się udać. O, w ten sposób to traktowałem. No, wiadomo: skoro jest to niemile widziane przez władzę, a władza dysponuje, no, nieograniczonym na ówczesne czasy aparatem przemocy, więc zależy to tylko od kaprysu kogoś, kto wybierze czas i sposób zażegnania tego jak gdyby niebezpieczeństwa, do którego się tam w jakiś sposób przyczyniamy.

Czy czegoś konkretnego się Pan spodziewał?

No, u nas to w ogóle... My jesteśmy na wschodzie, więc zagrożenia były tego typu, że załóżmy... Widelki zagrożeń: z jednej strony rozwiązanie tego i wyrzucenie na bruk, co nie mieściło się w moim pojęciu, nie wydawało się mocno realne. A inne zagrożenia to ta szeptana propaganda klęski. Tutaj jesteśmy na wschodzie. Wywózka na wschód. Ta skala zagrożeń. A której strony ja byłem bliżej? Trudno powiedzieć, pewnie środka.

A co pańska żona sądziła o pańskich poczynaniach?

Żona traktowała to jako coś bardzo naturalnego, że się tym zajmuję, bo jej poglądy są takie same. Natomiast była przeciw, chociaż musiała się z tym pogodzić, gdy już w stanie wojennym zacząłem się w to bawić. Wtedy była po prostu przerażona. Zresztą wtedy już mieliśmy dwójkę dzieci.

Jak Pan pamięta wprowadzenie stanu wojennego?

No, pamiętam doskonale. Dlatego, że żeśmy się obudzili rano, to jest to, co wszyscy powtarzają, mieliśmy włączyć naszym dzieciom coś... Nie pamiętam, co, coś dziecinnego. No i od razu, jak tylko włączyliśmy, trafiliśmy na Jaruzelskiego, który odczytywał wielokrotnie ten swój tekst. No i wtedy byłem już troszeczkę przerażony. Byliśmy przerażeni, bo poczuliśmy, że jesteśmy bliżej tej wywózki na wschód niż zwolnienia z pracy. Wywiozłem żonę i dzieci od razu do Siemiatycz, do teściów i wróciłem natychmiast do Białegostoku. Zrobiliśmy to tak szybko, mimo [że] to sto kilometrów, że jeszcze wojskowi nie zdążyli rogatek rozstawić na ulicach wylotowych, na granicy miasta. Rogatki pojawiły się, z tego, co wiem, godzinę po moim powrocie, tym rannym z Siemiatycz. No i ja tutaj zostałem, mieszkałem sam, chodziłem do pracy.

Czego się Pan wtedy spodziewał po stanie wojennym? Poza tym, że ta perspektywa wywózki stała się bardziej realna.

Wtedy już wszystkiego. Że może dojść do krwawych jakichś tam rozruchów, że będą ofiary, że będą... Nie wiem, no, aresztowania to najłagodniejsza forma represji, jaka mi się wówczas wydawała. Ja, szczerze mówiąc, nie bałem się zwolnienia z pracy. No, bo czego ja się mogłem bać. Skoro zdecydowano się na takie coś, to znaczy, że wszystko może się stać.

Wrócił Pan i jak to się dalej toczyło?

Nic. No, oczywiście ta nasza komórka przestała istnieć i działać w zakładzie, bo po prostu „Solidarność” została rozwiązana. Ale nikt nam z tego tytułu złego słowa nie powiedział, żeśmy działali. Po prostu praca toczyła się w firmie tak, jak się toczyła wcześniej. Nie było jakiegoś triumfalizmu tych, którzy byli przeciwko „Solidarności”. Nie. Po prostu nic się nie stało w zakładzie pracy. No, natomiast poza zakładem pracy, to wiadomo, co. Taka cały czas kołatała się myśl o tych różnych represjach, ale czas leciał, żadne represje nas nie dotykały. Ja mam na myśli tą naszą czwórkę. Wszystko było tak, jak poprzednio.

Nie umiem [sobie] przypomnieć, kiedy zdecydowaliśmy się na to, żeby przywieźć [żonę i dzieci] z powrotem. Przypuszczam, że to jeszcze była może... Kalendarzowa to mogła być wiosna, ale ja wiem, że jak wiozłem, to jeszcze to było takie wszystko zimne. To znaczy, gdzieś tam jakieś resztki śniegu... Marzec może, tak. Resztki śniegu... Coś takiego pamiętam. Naprawdę teraz nawet trudno odtworzyć. No i tak żeśmy się kołatali przez rok osiemdziesiąty drugi. W okolicach świąt Bożego Narodzenia osiemdziesiątego drugiego roku wpadł do nas taki znajomy, on pracował na Uniwersytecie, był pracownikiem naukowym.

O, wcześniej oczywiście... Nie wiem, jak to się stało, ale nigdy tyle bibuły się nie naczytałem, co wtedy, w stanie wojennym.

Nadal tak nudnej?

Nie! To już była bibuła docierająca z całego kraju. Nie tylko Warszawa, ale, nie wiem, Kraków, no, po prostu wszystko. Wszystko, z każdej strony.

Chce Pan powiedzieć, że nie tylko przestało być nudne, ale też było więcej?

Tak. Było dużo więcej. Nie sposób nawet było znaleźć czas na przeczytanie wszystkiego.

A od kogo Pan dostawał bibułę?

Z różnych źródeł. Ale to były... To byli ci moi koledzy ze studiów jeszcze. Oni kończyli studia, robili swoje, ale te nasze relacje były takie, no, normalne. Przecież byliśmy przyjaciółmi. Oni mieli jakichś mnóstwo kontaktów.

No i ten znajomy wpadł, on trochę związany jest z rodziną, bo to jest jakiś wielokrotnie cioteczny ze strony mojej żoneczki, jej brat. Wpadł któregoś... Bardzo późnej nocy i mówi, że czuje się osaczony, śledzony, czy coś w tym sensie. Że ma świadomość tego, że wokół niego dzieje się nieciekawie. On był zamieszany w druki i kolportaż tego naszego tygodnika, białostockiego, „Solidarności” i jeszcze jakichś innych rzeczy. I [opowiadał] że on to rzuca w diabły, bo boi się, nie tyle, że tam coś go spotka, bo, oczywiście, wiadomo, co go spotka, przecież czytaliśmy gazety, wiedzieliśmy, że jeżeli ktoś był sądzony, to wyroki są od trzech lat wzwyż. Ale boi się, że jeżeli pójdą jego tropem, to może jakaś wsypa nastąpić. A ponieważ my byliśmy bardzo luźno związani... Ja z nim właśnie przez moją żoneczkę, która jest z Siemiatycz i to jest tamta rodzina. Czyli nikt nie powinien skojarzyć tu, w Białymstoku, jego ze mną. On mi

zapropował taką zamianę ról, że ja przejmę to po nim. Twierdził, że jest śledzony, zresztą nie bez powodów, potem się okazało.

No, zgodziłem się. Czuję się, jakby to powiedzieć, zaszczycony, psiakrew, że mogę w czymś takim uczestniczyć. No, bo to uważałem za obowiązek nawet. Wcześniej nie było takiej możliwości, bo ta nasza grupka w zakładzie remontowym to w ogóle była... Normalnie byłaby odcięta od świata, od jakiegokolwiek działalności. Nie mieliśmy żadnej takiej... Takich kontaktów konspiracyjnych w stanie wojennym, bo my się nie liczyliśmy. Przecież to niewielka firma w skali Białegostoku, tu były zakłady, które zatrudniały po czternaście tysięcy pracowników, nie? Te „Fasty” i inne, tam ta działalność, nazwijmy to, podziemna, była mocno zakorzeniona. A ten nasz zakładzik na uboczu, to tam pies z kulawą nogą nie słyszał.

Na czym polegała to zajęcie?

Byłem odpowiedzialny za zaopatrzenie wszelkimi pismami – tymi naszymi, białostockimi, tutaj drukowanymi i innymi pozycjami, które przychodziły z kraju, jakieś tam książki, duże rzeczy – dwu miejscowości: Wysokie Mazowieckie i Łapy. To miasta powiatowe, że tak powiem, nasze. Ten właśnie, który mi tą działkę przekazał, podał mi takie trzy adresy, skąd ja to mam czerpać i jeden adres, gdzie ja mam to przekazywać. I no, ja to robiłem.

Jeździł Pan samochodem? Jak się to odbywało?

Nie, nie. To było tak: zimą mój samochód był nieczynny, bo to była taka syrenka, stał unieruchomiony. Korzystałem z najróżniejszych lokomocji. W obrębie miasta oczywiście autobusy, a poza miasto, prosiłem kogokolwiek o podwiezienie. Oczywiście bez wtajemniczenia żadnego, czemu. Ten ktoś w ogóle nie miał pojęcia. Natomiast, gdy już przychodziła wiosna, można było tym moim pojazdem ganiać, no, to już swoim. Ale robiłem to w ten sposób, żeby... No, bo nazywałem się literatury z okresu drugiej wojny światowej, więc za każdym razem zakładałem, że jestem śledzony, chociaż nie miałem na to najmniejszych żadnych przesłanek, że tak jest. Potem się okazało, że rzeczywiście nie byłem. Ale jak jechałem samochodem, to jechałem gdzieś, samochód zostawiałem, wracałem ileś kilometrów, jakimiś przygodnymi okazjami. Potem jechałem znowu, też przygodnymi okazjami, tak, że mieszałem te środki komunikacji jak tylko mogłem. Tak, że to takie dostarczenie, które można byłoby zrobić w ciągu, ja wiem, godziny, to trwało sześć godzin, siedem godzin. No, przesadzałem z tym wszystkim. Byłem pod wrażeniem tych jego opowieści, zakładałem, że jeżeli SB wpadnie na trop, to oczywiście nic nie robi w tym kierunku, żeby nas zdjąć, tylko, że będzie chciała poznać, nazwijmy to, te wszystkie punkty. To tak było może w czasie okupacji niemieckiej. [śmieje się] Ale nie w naszej rzeczywistości. Bo potem, jak już doszło do mojego aresztowania, to nikt się w takie subtelności nie bawił, tylko od razu zgarnęli i cześć.

Jak długo trwało to pańskie kurierowanie?

Od przed Bożym Narodzeniem osiemdziesiąt dwa do momentu aresztowania, czyli to był, o ile pamiętam, chyba czwarty maj osiemdziesiąt trzy. Czyli tak mniej więcej półtora roku.

A jak doszło do pańskiego zatrzymania?

A, to zupełnie prozaiczne. Na skutek donosu zostałem aresztowany. Jeden... Młody człowiek pokłócił się z własną żoną, doszło tam do jakichś strasznych scysji, do tego, że ojciec tej żony przyjechał z nią do mieszkania, podczas jego nieobecności, żeby zabrać

graty swojej żony. No i jak z szaf wyciągano ubrania, to znaleziono jakieś tam druki nielegalne. Ten teść był... No, okazał się taką świnią, że od razu pobiegł z tym z tego mieszkania na komisariat. Blok, gdzie to się odbywało był dosłownie vis à vis komisariatu, przez ulicę przebiec. I na swojego zięcia zaniósł te papiery do komisariatu. Oczywiście SB go zwinęło i on w pierwszym śledztwie podał, skąd to ma, więc zwinęło dwóch pozostałych. Jeden z tych dwóch pozostałych podał mnie. Zwinęło mnie. Wszystko w ciągu jednego dnia. Szybko i sprawnie. Ale to nie było związane w ogóle z tymi punktami moimi, tylko to było związane z tym, że... Z zakładem pracy. Dlatego, że jak ta bibuła i takie różne rzeczy jakieś tam przychodziły, to ja niektóre egzemplarze, jakieś takie ciekawsze, które dotyczyły nas, tutaj w Białymstoku, podrzucałem swoim, nazwijmy to, zaufanym, wybranym. Oni przekazywali dalej, swoim jakimś znajomym. W rodzinie i tak dalej, i to takim bocznym odpryskiem dotarło do mnie.

Jak się odbyło pańskie aresztowanie?

Przyszli tutaj do domu, w sześciu, czy w iluś, to było tuż po godzinach pracy. Zjedliśmy tylko obiad i oni od razu weszli. Usiłowali zrobić tutaj rewizję, [wskazuje książki] no, niewiele mniej było na tych półkach. Jeszcze tak samo w innych pokojach. Próbowali zaglądać do książek, ale stwierdzili, że jest to... [śmieje się] Syzyfowa praca. Znaleźli całą zszywkę tygodnika „Solidarność” białostockiego, ale tego, który się ukazywał legalnie, przed trzynastym grudnia. Prenumerowałem przecież to, to pismo. To wzięli. Znaleźli jakąś książkę, Aleksandra Wata, pamiętam autora, jakieś jego wspomnienia z Rosji sowieckiej. I jeszcze jakąś broszurkę. Były to rzeczy, te dwie, wydane w stanie wojennym już. Tam oczywiście był nadruk: Oficyna Wydawnicza NOWA i data druku. W zasadzie niespecjalnie ich interesowało, co by można było u mnie znaleźć, tylko, że z przesłuchania kolegi mieli moje nazwisko. No i zagarnęli mnie.

Dokąd Pana zabrano?

Komenda wojewódzka, bo tam w podziemiach mieści się areszt śledczy. Ten areszt od razu mi zaaplikowano dwumiesięczny. No i tam siedziałem w tych piwnicach dwa miesiące podczas śledztwa. A potem, gdy śledztwo zostało zakończone, przedstawiono mi ten akt oskarżenia, to taka zapadła decyzja trójki sędziowskiej...

Przepraszam, a kiedy postawiono Panu zarzuty?

Natychmiast. Z tym, że to były zarzuty związane z tą sprawą, że ja przekazywałem temu konkretnemu swojemu koledze jakieś tam papiery. Potem ten zarzut został rozszerzony, bo ten mój kolega zaczął strasznie sypać. Gdyby sypać, to pół biedy, bo nic by się nie zmieniło w tym zarzucie. Zaczął fantazjować, wymyślać niestworzone rzeczy, kimże ja to jestem w strukturach białostockich. Potem opowiadał mi, że po prostu to robił ze strachu, że... Wydawało mu się wówczas, że jeżeli powiększy mnie, to jak gdyby się przysłuży Służbie... Bo w ten sposób go kuszono, że przysłuży się Służbie Bezpieczeństwa, a ci doprowadzą do zwolnienia. Rzeczywiście, on też był na etapie śledztwa, a wyszedł chyba po trzech tygodniach. Mimo, że miał też dwumiesięczną tą... Okres śledczy, ale wyszedł po tych swoich zeznaniach. No i wtedy rozszerzono mi... Gdzieś tam jakieś usiłowano dopisać, nie bardzo wiedzieli, co, więc tam tylko te paragrafy... Ja już nawet nie pamiętam treści tych paragrafów, ale jakieś usiłowanie obalenia przemocą i tak dalej. Takie różne rzeczy.

Jak przebiegały przesłuchania?

Bardzo kulturalnie. W sposób, powiedziałbym, wręcz wzorcowy i modelowy, jak w podręcznikach państwa demokratycznego. Ale to było związane już z tą sytuacją, że ja zostałem aresztowany czwartego chyba maja osiemdziesiąt trzy, a w lutym Jabłoński

wysłał oficjalne zaproszenie do papieża, do wizyty w kraju. No i warunki papieża były oczywiście jasne: między innymi amnestia dla politycznych. Więc oni już w ogóle bez serca do tego podchodzili, do tych przesłuchań. Traktowano to jako pro forma, bo wiadomo było, że wyjdziemy. Wszystkie wróble ćwierkały, że my zaraz wychodzimy na wolność. Więc przesłuchania były, no, przemile. Bo ja znam przesłuchania swoich kolegów wcześniej wziętych. Nawet to tam były... Różne sytuacje były. Ale gdy ja opowiadałem swoje, no, to: „Panie Zbyszku, papieroski? Herbatkę może?”. I taka rozmowa luźna, towarzyska, niby to przyjemna. Tak jak my teraz sobie rozmawiamy. Z tym, że były tam... Jeżeli czegoś próbowano, to jak gdyby takiego nacisku psychicznego, jakiegoś terroru psychicznego. „Panie Zbyszku, pan ma dwójkę małych dzieci, a pan wie, że wyroki są od trzech lat wzwyż, prawda? A te pana paragrafy to do dziesięciu właśnie akurat, więc, no, pan prędko nie wyjdzie. My i tak wszystko wiemy...”. No, wie pan, takie klasyczne. Ale bardzo przyjemnie, kulturalnie, miło. Z tym, że oczywiście nie mieli w ogóle nic na mnie. Teraz, z tych materiałów, które z IPN-u dostałem, wynika, że jakieś robiono rewizje pośród moich znajomych tutaj kręgu tych wszystkich. Gdzieś szukano powiązań, przesłuchiowano jakichś ludzi. Nic z tego absolutnie nie wynikło, dlatego, że akurat ci moi znajomi nie byli w to zaangażowani. Ja nie zaangażowałem w to nikogo z rodziny, nikogo z takich znajomych celowo, licząc się z tym, że mogę być w każdej chwili aresztowany.

Jak rozwijała się sprawa?

No, właśnie nie rozwijała się, bo śledztwo zostało zakończone, dostałem akt oskarżenia, w którym akcie oskarżenia było tylko to, że mój kolega, czyli współaresztowany na mnie zeznał, a to nie ma żadnej mocy, prawda, sprawczej. Ale mimo to... Nie wiem, no, uznano, że jestem groźny, bo zebrał się jakiś sąd i po śledztwie, gdzie powinienem normalnie wyjść z braku dowodów winy zapadła decyzja, żeby osadzić mnie już tutaj w więzieniu, w oczekiwaniu na rozprawę. Czyli już nie mogłem startować z wolnej stopy. No i siedziałem do momentu przylotu papieża i amnestii. Amnestia dwudziesty drugi lipiec, a wyszedłem dwudziesty ósmy chyba lipiec. Mniej więcej dwa i pół miesiąca.

Po wyjściu z więzienia, ponieważ nie było więcej niż trzy miesiące przerwy w pracy, jakiś taki był przepis, zostałem normalnie przyjęty z powrotem.

A jak pańska żona sobie radziła w tym czasie, kiedy Pan siedział?

Żona z dziećmi pojechała starym szlakiem do Siemiatycz. Mieszkanie zostało zamknięte i przyjeżdżała tylko na widzenia. Korespondencja tylko listowna była, bardzo rzadka, bo mogłem pisać jeden list w śledztwie chyba na dwa tygodnie.

Czy z widzeniami nie robiono problemów?

Miałem tylko jedno widzenie, już u schyłku śledztwa, czyli po dwóch miesiącach. Natomiast, gdy tutaj siedziałem w więzieniu, w oczekiwaniu na rozprawę, czyli między pierwszym lipca, a tym dwudziestym dziewiątym nie miałem żadnego. Tutaj już różni ludzie zaczęli coś tam działać z tego podziemia i załatwili mi adwokata, i miałem już widzenia właśnie z adwokatem, parę.

Miałem wspaniałego w areszcie śledczym, tam, na komendzie, w piwnicach... Spotkałem pierwszego dnia wspaniałego człowieka, którego potem jeszcze chyba raz spotkałem. Nasze cele były czteroosobowe i chyba co dzień albo co drugi dzień to było góra, skład był zmieniany, całkowicie. Czyli jak siedziano z jakimiś trzema, to następnego dnia z trzema innymi. Z tym, że nigdy z żadnym z politycznych, w śledztwie. Tylko, no, cały przekrój. Prawda, tam jakieś nie wiem, co. Kradzieże,

bimbrownictwo, kłusownictwo, pobicia, gwałty i inne rzeczy. I pierwszego dnia mnie właśnie w tej trójce trafił się taki facet, który był... O, wielokrotny recydywista, on został przewieziony do aresztu śledczego na jakieś kolejne śledztwo, które mu rozpoczynano, bo znaleziono, że coś tam jeszcze popełnił. I on tam właśnie był, i od razu jak wszedłem, to mnie się pyta, jakie paragrafy. Ja wymieniłem, on mówi: „a co to za paragrafy?”. I potem, jak się okazało, że to właśnie są te polityczne, on mówi tak: „natychmiast pisz odwołanie i absolutnie nie przyznawaj się do niczego”. On nawet użył tego znanego sformułowania, że „jeśli złapią cię za rękę, to mów, że to nie twoja ręka”. No, takiego mi szybkiego instruktażu udzielił. Ja jestem mu do dzisiaj za to bardzo wdzięczny. Bo absolutnie do niczego się nie przyznałem, cały czas twierdziłem, że to jakaś pomyłka, może zbieżność nazwisk i imienia, takie tam teksty im opowiadałem. No i Bogu dzięki, że tak się stało.

A jak wyglądało więzienie?

No, tak jak to znam z literatury z okresu caratu. [śmieje się] Cela czteroosobowa, cztery prycze. Poduszka, dwa koce. I tak zwana parasza, czyli ten metalowy kibelek w kącie stojący, który był tam wynoszony chyba raz na dobę, tak mi się wydaje. To w piwnicach było, czyli okienka były poziome, prawie pod sufitem. Ale one niewiele światła dawały, tak, że non stop się paliło też światło elektryczne za taką siatką drucianą. I jeszcze był przy jednej ścianie taki przymocowany stolik, jak gdyby połowa tego. [pokazuje rozmiary na blacie stołu] Przymocowany na stałe, przytwierdzony do ściany. Przynoszono posiłki... No, przesadziłem z tym carskim okresem, bo posiłki na normalnych talerzach były podawane.

W więzieniu też się skład zmieniał, więc ja poznałem, trudno powiedzieć, że trzystu może różnych typów. Bardzo zresztą życzliwie do mnie nastawionych, dlatego, że wszyscy uważali... A szczególnie oni, im kto miał bogatszą przeszłość kryminalną, wszyscy uważali, że właśnie „Solidarności” zawdzięczają to, że pojawiły się posiłki na talerzach, biały chleb. Bo to prawda jest. Dopiero za „Solidarności” w więzieniach się pojawił biały chleb, a przedtem to był taki gniot czarny, gliniany. I złagodzenie reżimu więziennego, czy w więzieniach, czy w aresztach. Wszyscy uważali, że to jest zasługa „Solidarności”, więc jak taki delikwent trafił, to rzeczywiście byłem tam traktowany na jakichś, przypuszczam, specjalnych prawach.

A próbowano Panu podsunąć...?

O, na pewno, tylko, że nie mam pojęcia. Bo często rozmowy schodziły, ktoś tam próbował zainicjować, wypytać, co i za co. To oczywiście wiedziałem, że... Znaczący, byłem trochę przewrażliwiony. Uważałem, że w każdym z tych składów, tych trzyosobowych, ze mną, że siedzi jakiś... No, więc tam odpowiednio... Cały czas tą samą legendę opowiadałem. No, tą samą, co dla oficera śledczego. Ale na pewno tam byli. Z tym, że ja nie mogę nikogo wskazać palcem, absolutnie. Nie mam pojęcia. Nikt nie zachowywał się jakoś tak, w sposób taki, że można było uprawdopodobnić, że to on. Ale przypuszczam, że byli gdzieś tam, może niektórzy. Nie tyłu, ilu wyobrażałem sobie wtedy, ale...

Czy coś się zmieniło po pańskim zwolnieniu?

Nie, ja wróciłem do zakładu pracy tego samego. Znaczący trochę się zmieniło, bo jak wróciłem, to popracowałem chyba ze dwa tygodnie i wtedy przeseregowano mnie, przestałem być malarzem. Malarze to u nas w zakładzie była taka, nazwijmy, kasta ludzi najlepiej zarabiających. Skierowano mnie do sekcji budowlanej, do takich robót gorzej płatnych.

A jest Pan przekonany, że to miało związek z pańskim uwięzieniem?

Tak. Nigdy nie rozmawiałem z dyrektorem firmy na ten temat. No, żałuję, powinienem jakoś pogadać. Ale jestem przekonany, że pewnie były jakieś naciski, że sobie nawet trudno mi wyobrazić, że by mogło nie być, prawda? Bo wraca facet z więzienia i jak gdyby nigdy nic dalej sobie pracuje. Tam coś musiało być.

Do tej pracy zostałem przeniesiony, nazwijmy to, gorzej płatnej. Ale nie myślałem o tym, żeby próbować zmienić zakład, bo doszedłem do wniosku, że to nic nie da, bo ja już jestem jakoś tam notowany. Czyli w kolejnym zakładzie może być to samo.

We wrześniu tego roku, czyli tego samego lata, po moim zwolnieniu, przychodzi znajomy listonosz, puka do drzwi, śmieje się od ucha do ucha i wręcza mi wezwanie do WKU. A to jest rok osiemdziesiąty trzeci, ja mam wtedy dwadzieścia osiem lat. Według tamtego prawa jeszcze w tym roku podlegam. A robiłem najdziksze numery, przeróżne, żeby się wykręcić od wojska. I wszystkie te numery wypaliły, i cały czas byłem cywilem. A teraz wzywają mnie, w ostatnim moim roku jeszcze do WKU, wiadomo, czym to się skończy, prawda? Jednostka karna w Czerwonym Borze koło Łomży, dla takich jak ja. No i krótka decyzja. Jakies tam pieniądze wziąłem i jeszcze tego samego dnia pociągiem prysnąłem na Śląsk.

Dokąd? Do kogo?

Do rodziny. Ale nie chciałem do rodziny, bo wiadomo, że rodzina jest bardzo łatwa do odnalezienia. Pojechałem tam do rodziny mego stryja. O, tego właśnie najstarszego, który siedział. Do swoich braci stryjecznych, bo ten stryj ma czterech braci mniej więcej w moim wieku. Dwóch starszych, dwóch młodszych. Oczywiście wiadomo było, że jadę, żeby się ukryć, wiadomo było, że oni tego nie mogą zrobić, bo zostaliby też namierzeni. I jeden z braci zaproponował swego teścia. To była Złotoryja w legnickim województwie, a teść jego mieszkał w takiej wsi, nawet nie umiem [nazwy] tej wsi chyba przypomnieć, teraz już po tylu latach. W takiej głuszy, gdzieś tam w stronę Jeleniej Góry pamiętam się jechało. I on zaproponował, mówiąc, że, mnie z jego teściem nikt nie powinien skojarzyć. Na wsi zresztą rozpuszczono taką wiadomość, że przyjechał ktoś z rodziny do pomocy. Bo on miał pasiekę, olbrzymią, chyba z osiemdziesiąt uli. A on już był wiekowy. No i myśmy tam od września aż do ostatniego dnia grudnia... No, klepaliśmy te ule, budowaliśmy te ule. Rzeczywiście przy pasiece jest kupa roboty zimą. On wiele uli wymieniał. To bardzo przyjemni ludzie, oni zresztą są repatrianci, gdzieś spod Stanisławowa aż. I tam przesiedziałem. Jak tylko nastął trzydziesty chyba pierwszy grudzień, to ruszyłem tak w podróż powrotną, żeby pierwszego stycznia zameldować się w domu, bo już wtedy byłem poza zasięgiem. No i zameldowałem się.

Dziękuję za rozmowę.

Zapis z nagrania i redakcja tekstu: Jacek Galewski